

nakręcać film w blaskach słońca, jako że Tatarin budził się dopiero o schyłku dnia. W cię che noce przepojone wonią jaśminów i po- naręczkowe go kwiecie przechodnie podzi- wiali purpurową łunę, która zapalała się na całym wybrzeżu od Cap d'Al do wąwozu Will Franche, przesłaniała grzywy książęcy i gasiła gwiazdy. To czarnoksiężnik Tatarin zaczął swą nocną pracę. Wytwornie ubra- ny, w jedwabnej koszuli josiowego koloru, siedział w wygodnym fotelu, pograżony zda się w marzeniach. — „Myśle ciągle — nie śpię nigdy“ — mawiał z kabotyńskim akcen- tem. Czasami myślenie kosztowało go tak wiele, że musiał odpoczywać przez czas dłuższy w swoim gabinecie, gdzie sobie usta- wiał polowe łóżce, zasłane prześcieradłami z krepleśny, z haftowanemi inicjałami. W takich razach wszyscy ciepłiwie czekali, aż Tatarinowi przejdzie migrena. Wracał pe- len pomysłów, przycisnąc do żołądka gu- mową grzejkę, a na dany znak reflektory zno- wu puszczały snopy błękitnego światła, na historyczne postacie Karola Wielkiego i Pię- k-

czenia niektóre sceny były cudowne. Gdyby, dano mu tylko możność pokazania ich, to już wystarczy! Po przebyciu granicy celnej zdo- będzie całą Amerykę.

Kron po przyjeździe do Nowego Jorku za- mieszkał z oszczędności w pensjonacie na Trzeciej Avenue. Piwo, które pito w tej dziel- nicy, miało posmak siodu, a śpiewacy w ty- rolskich kostiumach, którzy wieczorem występ-owali na estradach przed kufłami, stojącymi na obrusach w kratę i klepali się po tydkach i pośladkach, przypominali mu rozkosze Ber- lina i „Vaterland'u“. Biegał po całym nowym Jorku od biur przy Times Square aż do war- szatów filmowych w Long Island, zwiędził w dolnem mieście prawdziwe ghetto (tak po- woli powstające w Paryżu) w którym roi się od przyszykłych matematyków, przywódców słynnych rewolucyj i niepoczytalnych dżiad-ków fenomenalnych skrzypków. Czuli się tam jak u siebie w domu. Tylko to miało być w stanie go zrozumieć i zorientować się od razu już z próbek jego filmu, że posiada talent je- rzęce europejski i mienaruszony. Kron wypi-

sał dużemi literami na blaszanych pudelkach swoje imię, nazwisko i adres, ażeby ten teo- retycznie możliwy majątek nie zaginął.

Długo czekał, aby zostać przyjętym w biu- rach, mieszczących się na zawrotnych wyso- kościach, gdzie gnieździło się kinowe plemię, którego zadaniem było zestawiać i podawać swemu panu, czyli publiczności, potrawę, przyprawione sosem Broadway'u. To co Kron nazwał sosem broadway'skim było smietan- ką wiedeńskiego dowcipu okraszoną oleistym i brutalnym seksualizmem, pochodzącym wprost z Niemiec i rosyjską wonią kwasu siarczanego. Poznał clown'ów, proroków, po- tworów, ludzi tresujących psy i postrdników. Bywał w ich domach na zaproszenie ich mał- żonek i przeszedł wszystkie stopnie wielkiego świata „pictures“, poczawszy od Piątej Ave- nue a skończywszy na Riverside'dwie. Jeździł z „France-la-doulce“ samolotami i pullman- niami, obnosił film po murzyńskich barach i bankach.

Usiłował trzymać się pewnej metody. Roz- bijał kartele, przetatywał ponad holdi, gś,

jękty i warując z tęsknoty. Dzielili się oni na klany i grupy, zgorzkniałe i kłóliwe, ale nie- zwykle solidarne, gdy trzeba było stawić czo- ła tym świniom cudzoziemcom. Oficerowie gwardji i admirałowie składali sobie wzaje- mnie uniżone ukłony, a jednocześnie robili sobie wzajemnie tyjące przykrości. Miesz- kańcy Nicei mogli śmiało zastosować do emi- grantów swoje stare przysłowie: — „*Gen de guerra e de marin-son de la mème farina...*“ *

Trzeba jednak było przejść przez moskiew- ską próbę, skoro postanowiono zaangażować Tatarina. Nie da się zaprzeczyć, że nie- zdecydowany Narcyz był do pewnego stop- nia geniuszem. Potrafił przekształcić pannę Etard na piękność klasyczną, a Hautducoeur na utalentowanego aktora. Każdy metr taśny, filmowej zawierał teraz ekstrakt najczystszej fantazji i wizjonerskich pomysłów. Przesłano

* „Wojakowi i marynarce z jednej lepicini są maki...”

— Masz rzęsy jak ciele — płaskie, gę- ste... Fe!

Nawet charty pięknej Audy gryzły się z nu- dów, a zdżiczone konie rycerzy towarzysza- cych Karolowi, rozbiegły się po górach.

Codziennie o świcie fryzjerzy szminkowali piękne, wyniszczone twarze statystów, stroj- nych w historyczne lachy. Później deszcz je- sienny zmywał szminkę i niszczył ubrania. Reżyser czekał cierpliwie do godziny jedena- stej, nie spuszczając wzroku z posępnego nie- ba, a gdy nie było już żadnej nadziei wypla- cało się statystom połowę należności i wypę- dzało się ich, niby stado zwierząt, do koryta.

— Idźcie jeść!

Schodzono tedy do miasta błotnistemi dro- gami, na których sterczały gdzieniedzie po- rzucone platformy. Kobiety miały na sobie wiotkie, jak kalka płaszczyki, a mężczyźni pa- radowali w starych żołnierskich kapotach ko- lonjalnych pułków. Każdy z nich starannie unikał spotkania z żandarmami. Żaden z kie- rowników Eterfilmu nie miał odwagi tu przybyć od czasu pamiętnego dnia, kiedy to

chciało wyjrzeć z za chmur, które od sześciu tygodni zasłaniały niebo. W obrazie z Karo- lem Wielkim mieli wziąć udział „biedacy“, więc tłum biedaków czekał odpowiedniej chwili, zabijając nudę sprzeczkami. Byli to zresztą starzy znajomi: — poznali się w stu- dio Beaulieu, kochali się w Wiedniu, pogar- dzali sobą w Sztokholmie, pogodzili się w Rzymie a zalienawidzili się na dobre w Pi- renejach. W małych kawiarenkach w Saint Jean Pied de Port kłóciły się zdenerwowane niedostatkiem i zimnem, zgłodniałe statystki, które zajmowały się wrózeniem z kart. Koza- cy polowali, a dzieci francuskie i angielskie, które miały witać Karola Wielkiego wraca- jącego z Saragossy, dygotały z zimna w lek- kich ubrankach i bily się w kantynie.

— Ja chcę być pierwszy. Wszystkim dam po łbie, jeśli nie będę stać w pierwszym rzę- dzie.

— *Shut up you swine.*

— Mamusia mówi, że moje rzęsy, nadają się do zbliżeń.